

masz biegle za mną, lecz nerwowe rozdrażnienie i lęk nerwowy zdawały we mnie siły i zdawały się przypinać mi skrzydła. Styszałem zdyszany głos Józefa, wołający za mną:

— Stój! poczekaj!

Lecz niepokój, dźwięczący w jego głosie, sprawił właśnie, że biegłem jeszcze prędzej. Wpadłem nareszcie do tunelu. W połowie skalnego korytarza dostrzegłem już przedtem z oddalenia widzianych rybaków, postępujących procesjonalnym krokiem.

Na mój krzyk zatrzymali się na miejscu, jak wryci. Paru ludzi oderwało się od gromadki i poskoczyło, aby mnie zatrzymać. Wyśliznąłem się im z rąk; postąpiłem naprzód... i ujrzałem... Boże! ulituj się nademną... zwłoki mego ojca.

Padłem przy nich na ziemię.

Z niemal kobiecą tklivością podnieśli mnie, otrzęźwili i ze łzami, perlącemi się w ich dobrych oczach, starali się pocieszać. Poczem, z oznakami najgłębszego szacunku dla tego, którego znali od dziecka i kochali szczerze, ruszyli z jego ciałem do Lantrig. Józef Roscorla wziął mnie na ręce i przycisnąwszy do piersi, niósł prawie nieprzytomnego, postępując powoli krok w krok za nimi.

Gdy odsunęli rygle, na które drzwi wchodowe były zamknięte i gdy przekraczali próg starego dworu, rozległ się nagle okropny śmiech, mrozący krew w sercach słuchaczy.

Tak powitany został mój ojciec, po swym powrocie do ogniska rodzinnego.

Lecz nie na tem koniec. Bo gdy wuj z matki pokoju wyszedł do nas, zamknięte przez niego drzwi, rozwarły się nagle na rozścieł i ukazała się w nich mateczka cała w bieli. Z szaleńcem w oczach, rzuciła się na zwłoki, ukłękła przy nich, ucałowała skostniałe ręce i zsiniałe lica zmarłego, starając się zimne ciało rozgrzać czułymi pieścizotami, nie przestając przytem niezrozumiale szeptać dziwnych jakichś wyrazów i śmiać się równocześnie tak tkliwym tonem, że śmiech jej mógł wzbudzić litość nawet w sercu szatana.

W ten sposób — ja sędzę — tu jeszcze na ziemi porozumiały się ich dusze, wielką miłością z sobą związane na wieczność.

## ROZDZIAŁ VII.

Odkrycie wuja Loveday. Co zawierało w sobie pudełko cynowe.

W godzinę potem siedziałem u wezłowania umierającej matki.

Wstrząśnienie wywołane okropnem spotkaniem, przywróciło jej zmysły i sprowadziło śmierć. Wkrótce po odzyskaniu rozumu uciekło z niej życie. Błada i spokojna spoczywała na łóżku, nic nie mówiąc. W oczach jej wyczytać można było wyrok śmierci, wydany przez przeznaczenie: ja zaś czytałem w nich nadto — co straszniejszem mi się zdawało — wyrzut czuły, lecz nieustanny. Żywot ludzki pełen jest nieporozumień, rzadko kiedy jednakże zaznać można rozpaczliwsze. Cóżbym mógł jej teraz powiedzieć? I cóżby ona zrozumiała z tego, co bym jej powiedział? Już zapóźno! „Zapóźno, zapóźno!“ Treść tego słowa udręczała mnie, gdy wschodzące słońce, przeciskając promienie swoje przez szpary zamkniętych okiennic, oświecało jej drogie oblicze. I później prześladowała mnie ona często. Prześladowałyby może jeszcze i teraz, gdybym dziś nie był pewny, że nareszcie wie prawdę.

Konała cicho, bo skon był końcem jej oczekiwania. Ukochany mąż, za którym tak bardzo tęskniła, myśląc ciągle o jego powrocie, powrócił przecie. Powrócił po wielu smutkach i zawodach, wprowadzając umarłego, lecz dlatego połączyć się już z nim mogła na wieki.

Mnie, choćby tylko ze względu na mój wiek dziecięcy, wydawało się to okrutnem i niesprawiedliwym. Obecnie wiem, że śmierć jest bardzo miłosierną, nawet gdy się wydaje bezlitosną; lecz wówczas, siedząc przy niej i patrząc jak ukochana odchodzi odemnie, pojąć nie mogłem tej prawdy.

Błade promienie jesiennego słońca ślizgały się po jej postaci, oświetlając ją cudnie; potem gasły, a ona wciąż leżała prawie nieruchoma jak posąg.

Tętna przy jej dłoniach słabły powoli... powoli. Serce rozdarte, biło cicho, czekając bez walki na wieczny odpoczynek. Smutne jej oczy, zawsze piękne, zdawały się jednak wołać, pytać i o coś błagać, bez nadziei otrzymania wyjaśnień lub odpowiedzi. Takimi były, gdy pocziwi rybacy odrywali ją od zwłok, które okrywała pocałunkami; takimi pozostały aż do chwili, w której sen ostatni zamknął jej powieki. Patrząc w nie, było rzeczą nader bolesną.

Ciało mego ojca spoczywało w pokoju parterowym. Czuwali przy niem pani Rusvargus i wuj Loveday. Od czasu do czasu wsuwał się on pocichu do sypialni na pierwszym piętrze i równie cicho schodził na dół, bez promyka nadziei na twarzy. A zegar ścienny tykotał ciągle, jakby mierzył kroki czarnego archanioła, podchodzącego do łóża umierającej coraz bliżej, coraz bliżej.

Dwa razy rozwarły się wargi mateczki, jakby przemówić chciała, lecz — chociaż pochyliłem się nad nią, aby pochwycić w lot choć słówko — nie mogłem nic usłyszeć.



O ile zdaleka dostrzec mogłem, gromadka ludzi stała nad wodą.

Wpatrując się w jej twarz woskowej bledości, wszystkie słodkie wspomnienia przesunęły się przed oczami duszy mojej w smutnym pochodzie. Widzę nas oboje, siedzących przy płonącym ognisku i czytających razem. To znowu stoimy na szczycie skały w Pedu Glas, radujemy wzrok wspaniałością letniego słońca i szukamy na morzu „statku ojczulka“. Innym razem w kościele, w Polkimbra, modlimy się na klęczkach, by powrócił do nas szczęśliwie. Innym razem... Niestety! już nigdy, nigdy więcej!...

Wuj zbliżył się na palcach i przyglądał się mateczce bacznie. Poczem zwrócił się do mnie i zapytał:

— Czy przemówiła?

— Nie.

Już wychodził, gdy jej usta rozwarły się znowu i tym razem szeptały:

— Wraca, wraca! Cicho! to jego kroki.

W czarnych żrenicach malowało się oczekiwanie, na białych policzkach zajaśniała nadzieja zaziemskim jakimś światłem. Pochyliłem się nad nią znowu, bo głos jej brzmiał bardzo słabo.

— Wiem, że wraca. Słuchajcie! O, mój ukochany, przystąp do mnie bliżej... bliżej!

O, moja święta, niestety kroki, które słyszysz,

tętnią tylko echem w twojej duszy, wyrwijającej się do tego, który stanął u wrót niebieskich!

— Otóż on! Mężu mój najdroższy, przyszedłeś, żeby mnie zabrać z sobą!

Usiadła z wyciągniętymi rękami i promieniejącem obliczem. Poczem zachwiała się i w tył pochyliła, a ramiona, które ją pochwyciły w swe objęcia, były chyba ramionami aniołów.

\* \* \*

Gdy pomimo zgnębienia, wywołanego brzemieniem podwójnej żałoby, względnie uspokoiłem się nieco, wuj Loveday kazał mi się położyć i siłą sugestii zmusił poniekąd do zaśnięcia. Ogromny smutek, przejmujący mnie na wskrós, sprawił, że sen mój był nadzwyczajnie ciężki i nie nawiedzony żadnemi wizjami, ciało bowiem wzruszeniami i czuwaniem wyczerpane, zapanowało nad duchem.

Zbudziłem się dopiero o dziesiątej zrana i ujrzałem przy moim łóżku siedzącego wujaszka.

Słońce świeciło na pogodnem niebie, a świat cały zdawał się tak spokojny i szczęśliwy, że bezmyślnie wyskoczyć chciałem z pościeli i biedz według zwyczaju do pokoju matki. Lecz oczy moje spotkały się ze wzrokiem wuja i cała grobowa rzeczywistość zmartwychwstała nagle w moim mózgu. Z głuchym jękiem upadłem na poduszkę.

Wuj Loveday, który przypatrywał mi się pilnie, powstał z krzesła i wziął mnie za rękę.

— Kasprze, mój drogi chłopcze, jakże się czujesz? — zapytał.

Po krótkiej walce wewnętrznej, zapanowałem nad bólem serca i rzekłem:

— Dobrze.

— Tem lepiej, moje dziecko. Świadczy to, że chcesz być mężczyzną, a męstwa potrzebować będziesz do wysłuchania tego, co ci mam powiedzieć. Jestem, jak wiesz, lekarzem... a nauczony życiowem doświadczeniem, sądzę, że rozkładanie przykrych wrażeń na raty, nazwać należy złą i fałszywą metodą. Najlepiej dowiedzieć się o najcięższych zmartwieniach odrazu, aby, wzbudziwszy w sobie całą moc ducha, odważnie stawić im czoło. Otóż, mój kochany chłopcze, chociaż dzięki Bogu, część cierpienia, jaka ci przypadła w udziale, jest jak dotąd wcale nie-mała, musisz usłyszeć coś jeszcze, co ją znacznie powiększy. Jeśli zaś jesteś tem, za co cię mam, to jest dzieckiem nad wiek rozwiniętem i posiadającym niezwykłą siłę charakteru, stokroć lepiej, że się dowiesz o wszystkim natychmiast.

Panując o ile mogłem nad nerwami, zastanawiałem się: jakim będzie ów nowy cios, który ma mnie dosięgnąć jeszcze. Usiadłem na łóżku i nie bez lęku i trwogi spojrzałem na wuja.

— Wszakże, jak mniemam, przekonany jesteś, że ojciec twój się utopił?

— Tak, wujaszku.

— Otóż, mój drogi, on nie utonął.

— Nie utonął?

— Nie, Kasprze... został zabity.

Ostatnie słowa, wymówione powoli i uroczysto — nie bacząc na bolesne wrażenie, jakie wywołały w pierwszej chwili — rozjaśniły w umyśle moim nagle całą niemal istotną treść zdarzeń, z których dotąd nie zdawałem sobie należytej sprawy. Oto dlaczego dotąd nie zdawałem sobie należytej sprawy. Oto dlaczego na obu obcych ludziach nazwisko moje wywołało tak silne wrażenie! Oto dlaczego, gdyśmy siedzieli na Skale Umarłego, oczy Johna Railton unięły spotkania z moimi! Oto dlaczego jego zabójca, z tak nadzwyczajnem uniesieniem i gwałtownym wysiłkiem pochwycił mnie za ramiona, gdy nad zatoką Gotowych Pieniędzy dowiedział się, jakie noszę nazwisko!

Słowa wujaszka rzuciły cały snop światła na zagadkowe wypadki dni ostatnich w taki sposób, że niemal z góry odgadłem, co mi odpowie, na zadane mu zaraz potem przeze mnie pytanie.

— Zabity?! Lecz jak?

— Zamordowany!

(Ciąg dalszy nastąpi).